

„WIERZĘ W JEZUSA CHRYSYTA”

(Celem ujęcia poszczególnych zagadnień omawianych w niniejszym numerze w bardziej przystępnej formie, COMMUNIO zwróciło się do znanego teologa, L. Bouyera, zadając mu następujące pytania):

Prosilibyśmy o bliższe wyjaśnienie słów wypowiedzianych przez nas w Credo: wierzę „w jednego Pana Jezusa Chrystusa, Syna Bożego jednorodzonego, który z Ojca jest zrodzony przed wszystkimi wiekami”. Co oznaczają te słowa?

L. B.: Treść tych słów spotykamy już w „Credo” pierwszych chrześcijan po Zmartwychwstaniu i Pięćdziesiątnicy, kiedy to Duch Święty dopełnił Objawienia. Chodzi w nich mianowicie o przekonanie, że Jezusa nie da się wytłumaczyć biorąc pod uwagę wyłącznie Jego życie ziemskie, ograniczone na skutek narodzin, podobnych do narodzin innych ludzi, albowiem był w Nim obecny Ktoś, kto panuje nad wiekami, Ktoś, kto stanowi jedno z Bogiem w sposób tak doskonały, że istniał w Nim przez całą wieczność. Ten Ktoś — to Syn Boży, który nie stał się nim drogą adopcji podobnej do naszej, lecz był nim zawsze tak dalece, że Bóg — jeśli się można tak wyrazić — nie mógł nigdy istnieć bez Tego, który się objawił w dziejach jako Jezus z Nazaretu, a który przekracza te dzieje. Taki jest sens przeświadczenia o bóstwie Jezusa i Jego wieczności; chodzi przy tym o Jezusa, który był człowiekiem, tak jak my, i żył w naszych warunkach życia, podlegając takim samym słabościom, z wyjątkiem grzechu. Był rzeczywiście światłem Obecności przekraczającej ramy tego świata i sięgającej wieczności Boga.

W jaki sposób dałoby się odróżnić dwa problemy: boskość Chrystusa i Jego preegzystencję?

L. B.: W rzeczywistości występuje tu tylko jeden problem. Jeżeli Chrystus istnieje od wieków, to istnieje tak nie dlatego, że żył już uprzednio, lecz dlatego, że jest Bogiem. Bóstwo Chrystusa zakłada Jego wieczność, a nie tylko samą preegzystencję.

Dlatego też jest On kimś jednym z Ojcem. Nie ma przecież Ojca bez Syna. Skoro Bóg jest z istoty swej Ojcem, ma od wieków Syna.

Czy nie można by powiedzieć, że relacja Ojciec — Syn jest

pewną strukturą kulturową, odpowiadającą ówczesnej hierarchii społeczeństwa żydowskiego? Czy też relacja ta (i związana z nią relacja trynitarna) ma znaczenie powszechne?

L. B.: Odpowiedź na powyższe pytania pozwoli wyjaśnić, że istnieje, z jednej strony, w relacji Ojciec — Syn powien element ludzki, zresztą nieodzowny, z drugiej zaś podkreślić, iż to, co było specyficzne dla Izraela, pozwoliło ukazać prawdziwą głębię tej relacji na płaszczyźnie ludzkiej, głębię wynikającą z obecności samego Boga.

Wydaje się, że można tu wraz ze św. Atanazym stwierdzić, iż nie określa się Ojcostwa Bożego na podstawie naszego ludzkiego przeżycia ojcostwa, lecz odwrotnie: dostrzeżenie tego Ojcostwa, które przekracza wszystko, co bylibyśmy w stanie choćby tylko sobie wyobrazić, nadaje właściwy sens ojcostwu ludzkiemu, oczyszcza je i uwzniośla.

Dokonało się w rzeczy samej istotne przeobrażenie ludzkiego przeżycia ojcostwa, umożliwiające dostrzeżenie związków i powiązań faktycznie je oczyszczających i poszerzających w sposób niepomierne.

Występuje przy tym podwójny proces przekształcania ojcostwa ludzkiego: zostaje ono ubogacone elementem przekraczającym całkowicie wszelką ludzką wizję ojcostwa, który to element przeobraża z kolei to ludzkie ojcostwo.

Czy więc nie dzieje się tak, że dzięki sprecyzowaniu ojcostwa Bożego możemy przewycięzać pojęcia zaczerpnięte z określonych kultur?

L. B.: Rzeczywiście, mamy tu do czynienia z czymś, co syntetyzuje całą historię doprowadzając ją równocześnie do tego stopnia doskonałości, w którym wychodzi się już z dziejów, by wejść do wieczności. Stąd właśnie wynika błąd tych chrystologii, które usiłują sprowadzić Chrystusa do miary czysto ludzkiej, które wywodzą się z analizy dziejów i chcą umieścić Chrystusa w tychże dziejach, w których występuje cykliczne następstwo czasu, powtarzające się w sobie samym od wieków, podczas gdy mamy do czynienia z przewyciężeniem, z definitywnym otwarciem się: dokonuje się coś raz na zawsze, co ma znaczenie nie tylko dla przeszłości, lecz co ogarnia nas samych unosząc nas ku czemuś, czego się już nie da wymazać i co jest otwarciem się na wieczność.

Uwzględniając relację Ojciec — Syn, nasuwa się pytanie, czy w momencie śmierci, gdy Jezus zwrócił się do swego Ojca z wołaniem: „Ojczy, czemu mnie opuściłeś?”, nie nastąpiło prawdziwe opuszczenie, tak że Jezus był wówczas rzeczywiście sam?

L. B.: Nie należy zapominać, że chodzi tu o Psalm 22, którym Jezus się posługuje wypowiadając słowa swej ostatniej modlitwy. Psalm ten wyraża na początku całą głębię ludzkiej trwogi, by przejść z kolei do wyrażenia pewności, iż w samej głębi tejże trwogi człowiek spotyka Boga. Bóg go nie opuszcza i okazuje się mu bliskim w cierpieniu, co więcej, jest silniejszym od wszelkich nieszczęść. Jeżeli przeczytamy Psalm 22 w całości, zauważymy, że przy końcu pojawia się jedno z najpiękniejszych ujęć Starego Testamentu w odniesieniu do obecności Bożej, która się ujawnia zwłaszcza wtedy, gdy człowiek może się czuć całkowicie opuszczony, o ile tylko zachowuje wiarę w tego typu ciemności; odnosi wówczas pełne zwycięstwo, które nie tylko daje mu rekompensatę, ale też urzeczywistnia w sposób o wiele pełniejszy to, co człowiek zaledwie sobie wyobrażał, jak powie św. Paweł.

Wynika więc, że nie należy ujmować relacji Jezusa do Ojca za pomocą odniesień czysto ludzkich?

L. B.: Oczywiście! Element prawdy, jaki tkwi w dążeniu do sprowadzenia Chrystusa do Jego człowieczeństwa, polega na tym, że poprzez Jego człowieczeństwo, Jego czystość, wyjątkową głębię Jego ludzkości ludzie pojęli to, co było w Nim epifanią — a więc objawieniem, obecnością i nie tylko samą obecnością, bo raczej objawieniem Boga. Nie można jednak w takim razie przeciwstawić — jak to czynią niektórzy współcześni — chrystologii wychodzącej od dołu, od człowieka, innej chrystologii, która wychodzi od góry, od Boga, który staje się człowiekiem.

Pogłębienie doświadczeń życia ludzkiego z Jezusem, jakie stało się udziałem tych, którzy Go znali i którzy byli otwarci na te doświadczenia, przyjmując je w duchu wiary, którzy pozwalali się uchwycić i porwać przez Jezusa, pozwoliło im zrozumieć, że nie da się pojąć Jezusa wychodząc od człowieka; pojąć Go można tylko wtedy, gdy dostrzeże się w Nim wtargnięcie w nasz świat Bożej obecności.

W ten sposób chrystologia wychodząca od dołu i — można by tak powiedzieć — od czysto ludzkiego doświadczenia Jezusa prowadzi do chrystologii wychodzącej od góry, która uznaje w Jezusie Boga przychodzącego do nas, Boga, który się nam objawia i oddaje tak dalece, że takiej relacji z Bogiem człowiek dotychczas nie znał.

A uwzględniając tajemnicę Odkupienia, dlaczego Bóg musiał posłać swojego Syna? Czyż nie mógł sam dokonać zbawczego dzieła?

L. B.: Bóg zapragnął dać nam udział w życiu swego Syna,

chciał, byśmy byli Jego dziećmi przybranymi, nie drogą przybrania czysto prawnego lub fikcyjnego, lecz rzeczywistego, przenikniętego dogłębnie Życiem przekraczającym wszelkie ludzkie możliwości, jakim jest właśnie życie prawdziwego Syna Bożego w łonie Ojca. Grzech uniemożliwił dostęp do takiego stanu, byśmy byli nie tylko sługami Boga i Jego obrazem, ale prawdziwymi Jego dziećmi. Dlatego też Syn, który nie mógł nie spełnić swego zadania, który nie mógł grzeszyć, wziął na siebie trud zespolenia się z nami w naszej nędzy, ażeby nas zjednoczyć ze sobą w całej swojej chwale i w swej bliskości z Ojcem. Treścią Odkupienia dokonanego przez Syna jest odtworzenie w nas tego, do czego byliśmy od początku przeznaczeni, a co straciliśmy na skutek grzechu, mianowicie tak wielkiego zespolenia z życiem Boga, że poniekąd przestaje już On być naszym Stwórcą — Tym, który nas stworzył — a staje się też Ojcem — Tym, z którym mamy jedno wspólne życie.

Co by się zmieniło, gdyby Jezus był tylko człowiekiem?

L. B.: Człowiek nie byłby w stanie dać tego, czego sam nie ma. Mógłby dać przykład życia wyjątkowo czystego, uczciwego itd ...; ale Bóg pragnął dać o wiele więcej: zechciał obdarzyć nas życiem zespolonym więzią dziecięcą z Nim samym, pragnął obdarzyć nas synostwem będącym nie tylko — jak mówi św. Jan — powiedzeniem, lecz rzeczywistością. Tą rzeczywistością jest przede wszystkim synostwo Syna, który ma życie Ojca, rozumie Ojca i z Nim przebywa. Skoro zaś to wszystko istniało wyłącznie w Synu odwiecznym, dlatego tenże Syn odwieczny musiał wziąć na siebie nasze człowieczeństwo ze wszystkimi jego mrokami i słabościami, ażeby je przeniknąć, przemienić poprzez uobecnienie w nim tego życia, które się ujawnia zwłaszcza w tej wielkodusznej miłości, z jaką Syn zgodził się na cierpienie i śmierć poniesioną za tych, którzy nie pojęli tego, iż nie dociera do nich skierowane do nich wezwanie.

A Maryja, czy rozumiała to wszystko?

L. B.: Można by powiedzieć, że w całej historii grzesznej ludzkości, która nie miała wiary w Słowo Boże, która reagowała wyłącznie na dobra, które się widzi, których można dotknąć, Maryja jest tą pierwszą, w której wiara w Słowo Boże osiąga swą pełnię i staje się tak przejrzysta, że nie waha się przez moment na przyjęcie Syna Bożego; Maryja jest więc tą osobą, w której otwarciu się dobrowolne — albowiem Bóg nie mógł nas zmusić, nie mógł nas zbawić bez naszej zgody — ludzkości na obecność Boga staje się rzeczywistością: jest to otwarcie się na najściślejszą wspólnotę ży-

cia człowieka z Bogiem. Można by w tym względzie przytoczyć słowa teologa bizantyjskiego z XIV w., Grzegorza Palamasa, który stwierdza, że podobnie jak istnieje całe dziedzictwo grzechowe synów Adama, które sprawia, że pogrążają się oni coraz to bardziej w niepamięci o Bogu, tak istnieje również dziedzictwo tych, w których — poczynając od Abrahama — pojawiła się pierwsza isierka wiary i w których wiara ta wzrasta nieustannie, czerpiąc pożywienie z wzorców przekazanych przez dawniej wierzących; dziedzictwo to osiąga pełnię i dojrzałość w Maryi, która przejawia prawdziwą otwartość serca oraz całkowite zdanie się na to, czego Bóg chce w nas dokonać — otwartość, która sprawia, że Najśw. Dziewica może być rzeczywiście mieszkaniem i przybytkiem obecności Boga, który stał się człowiekiem.

Czy jednak Jezus wcieliłby się w każdym wypadku?

L. B.: Jest to zagadnienie, na które nie da się odpowiedzieć, ponieważ Pismo św., Słowo Boże w ogólności nie zostało nam przekazane dla zaspokojenia naszej ciekawości, lecz po to, by doprowadzić nas do zbawienia w tych warunkach, w jakich się znajdujemy. Widzimy to, co Bóg uczynił w odniesieniu do sytuacji rzeczywistej. Można by oczywiście wyobrazić sobie to, co się komu żywnie podoba: będzie to jakaś rozrywka umysłowa. Możemy natomiast stwierdzić tylko tyle, że Bóg chciał zjednoczyć nas ze swym Synem, uczynić nas Jedno z Nim; czy jednak było w tym celu konieczne to, by Syn stał się człowiekiem? (...) Słowo Boże nie mówi nam niczego w tym względzie. Ukazuje nam jednak, że gdyby tak było, wówczas my, którzy zostaliśmy przeznaczeni przez Boga do dzielenia życia Jego Syna, bylibyśmy oddaleni i niezdolni do realizacji tego celu. Przecież sam Syn przyszedł do nas po to, by nas doprowadzić do tego, czym sam nie przestał nigdy być.

Wcielenie jawi się właśnie, i to zawsze, w perspektywie zbawienia grzesznej ludzkości. Nie ma ani jednej karty w Biblii, w całym Słowie Bożym nie spotkamy ani jednego zdania, które by ujmowało sprawy inaczej, aniżeli nakazuje to rzeczywista sytuacja człowieka... wszystko inne jest fantazją, czczym wymysłem, przekonanie zaś, że można posługiwać się Słowem Bożym celem udzielania odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania, jest błędem popełnianym, niestety, dosyć często przez teologów.

Słowo Boże rozbrzmiało po to, by udzielić odpowiedzi na pytania rzeczywiste, żywotne; kiedy więc przedkłada mu się problemy fałszywe, ono na nie nie odpowiada.

Co ma się właściwie na myśli, gdy mówi się o Słowie?

L. B.: W całym Starym Testamencie występuje taki rodzaj

działalności profetycznej, który zakłada bezpośredni kontakt Boga z nami. Bóg ma inicjatywę: i to właśnie nazywamy Słowem Bożym; jest to oczywiście szczególny sposób traktowania słowa skierowanego do Izraela; chodzi tu bowiem o zapowiedź przygotowującą dla nas, chrześcijan, Objawienie chrześcijańskie. Bóg nie przemawia mianowicie w sposób sporadyczny, trochę tu i trochę tam, lecz mówi wszędzie tam, gdzie się Go tylko przyjmuje i gdzie pojawia się wzajemna więź, a człowiek dorasta stopniowo do tego, że staje się Mu bliski w ten sposób, jak Bóg zbliża się do nas. W takiej to właśnie formie kształtowała się wizja Boga zwracającego się do nas, wizja, w której Chrystus jawi się jako uwieńczenie tej wzajemnej więzi.

Bóg przemawia nie tylko słowami wypowiedzianymi przez Chrystusa, nie tylko Jego czynami, ale całą Jego osobą, tym wszystkim, czym On jest, a jest On przeźroczyością człowieczeństwa promieniującego obecnością Boga, oddawaniem się Boga nam, ludziom, przekazywaniem się Boga człowiekowi.

I właśnie dlatego jest On Synem, w którym Ojciec znajduje się w całej pełni i który jest równocześnie Słowem, poprzez które Bóg daje się nie tylko poznać, ale też się oddaje, przekazuje.

Czy dałoby się poznać Boga trójjedynego bez wcielenia Syna?

L. B.: Jest to jedno z wielkich pytań postawionych już przez Ojców Kościoła, na które starał się dać możliwie jasną odpowiedź Sobór Nicejski — ten pierwszy wielki sobór chrześcijański.

W wieczności, niezależnie od stworzenia i od zbawienia, Bóg ma Syna, a między Nim i Synem istnieje więź miłości, konkretyzująca się i personifikująca się w Duchu; ta zaś wielość istnieje wewnątrz najdoskonalszej jedności życia Bożego i jest — jeśli można się tak wyrazić — niejako korzeniem Bożej możliwości przekazywania siebie, powoływania innych bytów do istnienia i wprowadzania ich do udziału w życiu samego Boga, czyli w życiu wiecznym. Jak stwierdza św. Atanazy, pierwszy teolog, który wyraził jasno tę prawdę, Trójca istniałaby także wtedy, gdyby nie było żadnego stworzenia; z drugiej natomiast strony tylko dzięki temu, że w Bogu istnieje wielość w jedności, można sobie wyobrazić, iż może On być Stwórcą i może nie zadowolić się samym faktem stworzenia różnych dzieł, lecz zapragnąć zespolić je z własnym życiem, albowiem życie to jest w istocie swej Nim samym.

Na płaszczyźnie doświadczeń religijnych, jakie każdy z nas ma na modlitwie, może nasunąć się pytanie: kiedy się modlę, jakie może mieć znaczenie to, czy modlę się bardziej do Ojca, lub do Syna, lub do Ducha Świętego, lub do wszystkich Trzech razem..., jeżeli nazywam Ich Bogiem, jednym i tym samym?

L. B.: Rzeczą istotną jest pamiętać o tym, że Objawienie Trójcy jest objawieniem Życia Bożego, które winno stać się naszym udziałem. A Życie Boże staje się naszym udziałem wtedy, gdy zespalamy się z Chrystusem, naśladujemy Go, idąc zaś za Nim zostajemy napełnieni Duchem Świętym. I odwrotnie, dar Ducha Świętego sprawia, że nasze zjednoczenie z Chrystusem nie jest — jeśli można tak powiedzieć — przyłgnięciem czysto zewnętrznym do Niego, lecz zespoleniem pozwalającym niejako wniknąć w samo Jego serce, zjednoczeniem wprowadzającym nas w samo Jego wnętrze tak dalece, że jesteśmy przez Niego prowadzeni do Ojca.

Całe życie Chrystusa jest dziękczynną odpowiedzią na dar z samego siebie, uczyniony przez Ojca, a odpowiedź ta stanowi jedną rzeczywistość z samym Darem, albowiem Duch Święty (ten Dar osobowy) jest więzią żywą, jednoczącą Ojca i Syna.

Nasze doświadczenie chrześcijańskie jest właśnie doświadczeniem tego upodobnienia się do życia Trójcy Świętej, które zakłada, że żyjemy poprzez Ducha w Chrystusie w odniesieniu do Ojca, w tym odniesieniu, które jest najpełniejszym i najpiękniejszym w pełni tego słowa znaczeniu uznaniem daru, jaki został nam uczyniony, a które się ujawnia we wzajemnym oddaniu (darze z siebie). Całe zatem życie chrześcijańskie, modlitwa chrześcijanina jest, choć nie zawsze w sposób formalny i świadomy, doświadczeniem z istoty swej trynitarnym — zjednoczeniem z Chrystusem poprzez Ducha, skierowanym ku Ojcu — w tym wstępowaniu do Ojca i w tym powracaniu do Niego Miłości odbitej, będącej odblaskiem — jaką jest, jeśli można tak powiedzieć, Syn będący kimś Jednym z Miłością, jaką daje Mu Ojciec i jaką jest sam Duch Święty. Trójca Święta nie jest abstrakcją, lecz organiczną — jeśli można się tak wyrazić — wizją oglądanego przez nas życia Bożego, a tym samym i sposobu, w jaki to życie może stać się naszym udziałem.

*Inne pytanie: Chrystus mówi: „Kto mnie widzi, widzi i Ojca...”
Co to oznacza?*

L. B.: Chodzi tu oczywiście o bóstwo Chrystusa, o Jego odwieczne synostwo Boże, należące do samego życia Bożego: jest On Synem, gdyż jest odblaskiem, odbiciem Ojca, Tym, w którym znajduje się to wszystko, co jest w Ojcu, a w konsekwencji równocześnie Synem Słowa, poprzez które Bóg nie tylko objawia plan nas dotyczący, to, co pragnie z nami uczynić, lecz objawia także siebie samego, to, czym jest sam w sobie — a te dwa aspekty są od siebie nieodłączne w Piśmie św. Bóg chce uczynić nas istotami podobnymi do siebie, więcej jeszcze, mającymi udział w Jego Życiu; i właśnie jedno i to samo Słowo, poprzez które On to wszystko wyraża, jest Słowem przekazującym nam Życie, które jest w Nim samym.

Nie może to być oczywiście inne słowo poza tym jedynym Słowem żywym, jakim jest Jego Syn, Syn w najdoskonalszym synostwie.

Czy można twierdzić, że Jezus jest rzeczywiście człowiekiem takim jak my?

L. B.: Skoro człowiek został stworzony na obraz i podobieństwo Boże, istnieje w nim niewątpliwie jakaś zdolność do przyjęcia Boga i do upodobnienia się do Niego, a więc do uczestniczenia w życiu Bożym. Zdolność tę — jeśli można tak powiedzieć — zrealizował do maksimum Jezus Chrystus dzięki dobrowolnemu utożsamieniu się Boga z człowiekiem. Bóg w ten sposób stał się człowiekiem, że sam Bóg się nie zmienia, lecz zbliża się do człowieka, przenikającego sobą samym całkowicie i czyniąc ze swego obrazu miejsce swojej obecności, świątynię przekazywania swego życia.

Czy Jezus jest naprawdę Synem Bożym? Co chce On sam powiedzieć o sobie, gdy twierdzi: „jestem Synem Człowieczym”?

L. B.: „Syn Człowieczy” jest wyrażeniem mającym dla Hebrajczyków sens wyjątkowy, związany z rozdz. 7 Księgi Daniela, gdzie jest mowa o tym, jak ukazuje się przy końcu czasów ktoś podobny do człowieka — Syn człowieczy („Syn człowieczy” oznaczał dla Hebrajczyków posługującego się językiem hebrajskim lub aramejskim człowieka wywodzącego się z ludzkości i do niej należącego); ukazuje się więc człowiek, który przychodzi jednak z daleka, z wysoka — w obłokach niebieskich — z bezpośredniej bliskości Boga; jest to pierwszy starotestamentalny ślad tej idei, która nie przeniknęłaby świadomości ludzkiej, gdyby ludzie nie mieli przed sobą życia Jezusa — człowieka, który nie jest człowiekiem tak, jak inni, i który jest tym, który przychodzi właśnie od Boga, w którym sam Bóg się objawia, w którym Bóg jest obecny, który jest prawdziwie kimś jednym z Bogiem i który dzięki temu wszystkiemu otwiera — jeśli można się tak wyrazić — swoje człowieczeństwo w sposób najdoskonalszy na blask chwały obecności Bożej. Jak to ukazał bardzo pięknie wielki współczesny egzegeta niemiecki, Martin Hengel, w jednej ze swych książek, Syn człowieczy w apokaliptycznej wizji Daniela jest człowiekiem doskonałym (człowiekiem niebieskim — jak powie św. Paweł w rozdz. 15 Pierwszego Listu do Koryntian), podobnie jak Jezus jest wzorem nowej ludzkości, człowiekiem, w którym sam Bóg jest obecny, człowiekiem należącym w pełni do Boga i Bogiem, który stał się człowiekiem bez uszczerbku swego człowieczeństwa, albowiem na początku człowieczeństwo zostało stworzone na obraz Boży, obraz naruszony potem przez grzech, ale obecnie już odnowiony oraz

napełniony, dzięki Wcieleniu, życiem prawdziwie ludzkim — opartym na swym boskim wzorcu.

Gdy się twierdzi, że Chrystus jest zarazem Bogiem i człowiekiem, czy nie oznacza to, iż chwilami jest On bardziej Bogiem niż człowiekiem lub też bardziej człowiekiem niż Bogiem?

L. B.: Jest to rzecz godna uwagi, którą uwypuklił już św. Jan, gdy zaakcentował tak mocno realność człowieczeństwa Jezusa i gdy starał się podać różnorodne szczegóły z życia Jezusa; mówił więc o Jezusie zmęczonym podróżą, kiedy to usiadł przy studni Jakubowej, lub też o Jezusie płaczącym nad grobem Łazarza; tenże sam Jan wprost i bardzo wyraźnie ukazywał także bóstwo Chrystusa, które nie podważa w niczym pełni Jego człowieczeństwa. Człowieczeństwo Jezusa jest tak bogate i głębokie, że występuje w nim nie tylko nie wykrzywiony obraz Boga, jakim miało być obdarzone człowieczeństwo jako takie, ale jest to ponadto obraz, w którym rzeczywiście żyje i obecny jest sam wzorzec. Dlatego też sposób bycia człowiekiem, realizowany przez Jezusa, wyraża równocześnie rysy boskie: o takim sposobie bycia człowiekiem nikomu z ludzi nawet się nie śniło, nikt też inny nie byłby w stanie go zrealizować, a przecież nie ma w nim niczego, co by wynaturzało lub deformowało człowieka, co więcej, w sposobie tym objawia się głębia samych korzeni człowieczeństwa oraz dostrzega się jak korzenie te przenika nurt życia Bożego, które im się oddaje.

Czy nie należałoby się ograniczyć do tego właśnie człowieczeństwa Jezusa? Jest ono przecież nam bliższe i bardziej dla nas zrozumiałe.

L. B.: Pokusę taką przeżywa wielu nam współczesnych: chcieliby zachować Chrystusa, nie mając wiary w Boga, który w Nim się objawia, chcieliby uczynić z Chrystusa jedynie człowieka doskonałego, Człowieka wzorcowego. A przecież uczniów, a także tych, którzy nie chcieli być Jego uczniami, lecz spotkali Chrystusa, uderzało to, że nie da się Go zmieścić w granicach naszego człowieczeństwa. Jest On niewątpliwie człowiekiem, ale odznacza się czymś, co przekracza i przewyższa nieskończenie to wszystko, co udało się komukolwiek z ludzi i gdziekolwiek osiągnąć i co ludzie mają nadzieję jeszcze osiągnąć. Wszyscy wysłannicy faryzeuszów i członków Sanhedrynu, którzy mieli zaareztować Jezusa, spotkali się, gdy wracali, z pytaniem: „Dlaczegoście go nie zatrzymali?” Odpowiadali wówczas: „Nikt bowiem nigdy nie przemawiał jak ten człowiek”. Nie tylko nikt i nigdy nie mówił tak jak On, ale także nikt tak nie postępował i nie był takim, jak

On. Ludzie i całe tłumy spotykające Jezusa odczuwały w Nim — nawet wtedy, gdy buntowały się przeciwko Niemu — obecność czegoś jedyne­go, co nie może się zamykać w samym człowieczeń­stwie Jezusa. Niewątpliwie odzwierciedla On człowieczeń­stwo ja­ko takie, obciążone grzechem i ograniczone w swej stworzoności, ale ukazuje to człowieczeństwo jako przeniknięte całkowicie Bogiem, naznaczone Bożą pieczęcią, noszące na sobie obraz Boży. Dlatego też patrzenie na Jezusa jako na zwykłego tylko człowieka, choćby najdoskonalszego, utożsamia się z zapominaniem o tym, że człowiek nie jest w stanie osiągnąć doskonałości bez tego prze­kazania mu się Boga i bez tej Bożej obecności, którą grzech znie­kształcił lub przysłonił, i że w Jezusie mamy nie tylko człowieka bezgrzesznego, ale także Kogoś, kto przywraca ludzkości kontakt z życiem Bożym tak dalece, że człowiek może stać się Synem Bożym w tym Jedynym Synu.

W „Credo” wyznajemy: „Zrodzony, nie stworzony, współ­istotny Ojcu”. Co to oznacza?

L. B.: Różnica zachodząca między „stworzonym” a „zrodzo­nym” polega na tym, że stworzony oznacza: uczyniony z niczego, ograniczony, podczas gdy zrodzony przez Boga — to pochodzący z tego samego źródła życia, stanowiący jedno z nim. W swym bóstwie Chrystus jest Osobą Bożą, różną od Ojca, ale będącą za­razem jednym Bogiem wraz z Ojcem — podobnie jak syn ma naturę ojca i jest jego wyrazem. W tym jednak jedynym przy­padku zrodzenie Syna jest odwieczne i nie pociąga za sobą żadnego odłączenia. Albowiem Bóg, będąc Ojcem, z samej swojej natury miał wiecznie z sobą i w sobie Syna, który jest nieoddzielny od Niego.

My natomiast zaczęliśmy istnieć jako istoty nie mające w so­bie konieczności istnienia. Zostaliśmy więc stworzeni, wyciągnięci z nicości i jako tacy jesteśmy nieskończenie oddzieleni od Boga. Z samej natury jesteśmy dziełem Boga, uczynionym oczywiście na obraz Jego Syna; nie jesteśmy jednak Jego synami, albowiem istnieje i będzie istniał tylko jeden jedyny Syn Boży w pełnym tego słowa znaczeniu.

Mimo to „w Chrystusie” jesteśmy — jak mówi św. Paweł — dziećmi w Synu, można by powiedzieć: jesteśmy zespoleni z Jego jedynym synostwem. Albo też, jak mówi św. Jan: ponieważ Jezus jest Jedynym Synem Ojca, jesteśmy wszczępieni w Niego jak ga­łęzie w szcep latorośli winnej — nie tylko więc n a z y w a m y s i ę dziećmi Bożymi, ale nimi j e s t e ś m y naprawdę, albowiem jedno i to samo życie Syna staje się naszym udziałem. To właśnie nazywamy łaską! Darem Ducha!

W „Credo” mówimy: „przyjdzie w chwale...”. Jak należy pojmować to przyjście Chrystusa?

L. B.: Dzieło Chrystusa miało niewątpliwie w tym ujęciu, jakie cechowało Apostołów i pierwszych chrześcijan, podwójny aspekt. Chrystus uczynił to wszystko, co było konieczne, byśmy mogli żyć Nim z wiarą i wkroczyć na drogę, jaką On sam nam otworzył, drogę powrotu do Boga, pojednania z Nim, adopcji Bożej, Krzyża prowadzącego do Zmartwychwstania; możliwość ta stoi przed nami otworem, winniśmy jedynie dobrowolnie ją wybrać, powierzając się Jemu. W związku z tą nową możliwością jawi się też przed ludzkością nowy początek, w którym zostaje zgładzony grzech i urzeczywistnia się Boży plan nad nami, plan uczynienia z nas wszystkich dzieci Bożych; początek ten będzie właśnie sądem zrealizowanym przez Chrystusa w momencie Jego powrotu. Przyszedł przecież na ziemię po to, by wyrwać nas z potępienia; obecnie trwa chwila decyzji, która to decyzja przyniesie swój owoc ostateczny wówczas, gdy On sam powróci, by wziąć nas ze sobą, o ile tylko zdecydujemy się dobrowolnie na pójście za Nim. Tak więc po pierwszym przyjściu Chrystusa w ogołoceniu i uniżeniu podobnym do naszego, nastąpi Jego przyjście w chwale, mające na celu wprowadzenie nas do życia wiecznego. Winniśmy tak żyć na co dzień, jakby to wszystko mogło nastąpić lada chwila, albowiem nie znamy dnia ani godziny; mamy być wciąż gotowi na to spotkanie z Bogiem. Będzie to chwila, która nada sens całej historii ludzkiej i całym dziejom świata, gdy to wszystko się spełni. Samego problemu nie da się jednak rozwiązać mówiąc: „już czas”; nawet to powiedzenie nakazuje nam żyć w ciągłym nastawieniu na cel ostateczny, w tej nieustannej gotowości na powtórne przyjście Pana. Na tym polega prawdziwe życie chrześcijańskie; w tym oczekiwaniu tkwi jego właściwy motor.

Czy można powiedzieć, że Jezus jest dowodem na to, iż człowiek posiada w sobie zdolność stania się Bogiem?

L. B.: Możemy raczej stwierdzić, że istnieje w Nim wezwanie do stania się Bogiem, możliwe do zrealizowania pod warunkiem, że się Bogu oddamy, albowiem Bóg faktycznie chce nam przekazać to wszystko, co ma w sobie samym. Bóg uczynił człowieka bytem będącym w swej istocie „zdolnością, pojętnością Boga”, bytem zdolnym przyjąć ten Dar całkowity, jakim jest On sam.

tłum. ks. Lucjan Balter SAC